

Bolesław Jabłoński

część IV z V

Sygnatura notacji: **N0048**

Data urodzenia: **14.07.1937 r.**

Data nagrania: **24.01.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Otrębusy, Polska**

Prowadzący/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 57 min, część III: 52 min,**

Format nagrania: **video** **część VI: 48 min, część V: 86 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Bolesław Andrzej Jabłoński: Rok 1982, na którym należy się skupić, bo to były takie działania bardzo spontaniczne, ludzie się gromadzili, scalali. Należy szerzej omówić. Dlatego, że to była też i pierwsza ta nasza taka masowa akcja ulotkowa przed wielkim tygodniem w domach centrum, przed którą mi się ten kedywowski piękny powielacz rozleciał. I tutaj znowu dygresyjka z mojej strony. Później okładki do książek, jak mieliśmy bibliotekę historyczną, robili nam profesjonalni drukarze w Nadarzynie po sąsiedzku. I Waldek Stroiński, i jego kolega. Bo nie mogłem przez swoją maszynę przepuścić tektury. Jak oni mieli potem już po okrągłym stole drukarnię, przenieśli się na ulicę Orzeszkową, to w ramach jakiejś rekompensaty za to wszystko, a jakoś chcieli to pomieszczenie sobie ugłaskać i różnymi dekoracjami, dałem im ten powielacz. Stał na honorowym miejscu, na takim podwyższeniu, jak kiedyś nasze babcie stawiały paprotki w pomieszczeniach. Ale potem chłopaki zbankrutowali. Ja straciłem kontakt. Nie wiadomo, co się z tym stało. Proszę opowiedzieć o tej właśnie pierwszej akcji w wielkim tygodniu. Ta akcja polegała na tym, że mieliśmy rozrzuć naprawdę dużą ilość ulotek. Przy tej ilości, którą się drukowało, ja naprawdę już nie pamiętam tytułu, aczkolwiek wiem, że na pewno też były te ulotki na zasadzie Mazura, gdzie jest mowa o tym, że Loni dadzą kurki, a potem Lonia im kurki zakręci z gazem. Coś takiego. I tę treść pamiętam, bo to były różne, kilka typów ulotek. Chłopcy do rzucania byli wytypowani przez Teosia, czyli Klineciewicza z Politechniki, nie wiem kto, a grupa od Alka, znaczy karatecy i dżudocy mieli chłopaków obstawiać. I chłopcy nie rzucali do tej pory. Poza tym nie byli tak szkoleni właśnie jak myśmy w ramach tych szkoleń akowskich robili. I tak, i tu nie, i chciałby, i tutaj nie. I w końcu „Kocioł” się wkurzył, mówi: „Dawaj”, wziął dwie paczki, sypnął z jednej strony, Jacek z drugiej. Tam jeszcze taki jeden z geologów. I wtedy się zaczęło. Nie było żadnej wpadki. Syn Czeška Kropiwnickiego, który wtedy jeszcze był uczniem w szkole średniej rzucał z antresoli na dworcu głównym. I dlatego nazwałem go Kamikadze. Ja te ulotki poukładałem tam,

gdzie miałem kontakty z akowcami w Alejach Jerozolimskich. Było dobre miejsce, bo był przeciąg, a nie tylko ze względu na przeciąg, a to stare budynki, gdzie było osobne wejście dla panny służącej, osobne dla państwa. W związku z tym z jednej klatki i z drugiej. I z jednej, i z drugiej klatki wchodziło się na strych. Więc jak się dorobiło klucz, to można było wejść z upraną bielizną i udawać idiotę. A w razie czego, jak był słaby wiatr, to można było taką złodziejkę wkręcić. Ja mam taką jeszcze na dole w garażu. To wkręcało się w kontakt dla żarówki. Mogła być w złodzieje żarówka, ale dwa wpięcia jeszcze na wtyczki. I wtedy można było wziąć suszarkę do włosów, żeby to wylatywało. I to miejsce ja potem za zgodą Teosia mogłem wykorzystywać, bo już miałem maszyny, to już nie wypadało, bo maszyna zbyt droga, człowiek, nie człowiek, ale maszyna. I kiedy właśnie tam Teosia zaprowadziłem, i dał mi dyspensy na rzuty, i powiem szczerze, że powiedział mi na zakończenie: „Aleś my mieli fart” i „Głupi ma szczęście”. Bo przed wejściem do tego mieszkania Teos mówi: „Stary, śmierdzi”. I oczywiście takich smutnych panów, myśmy się trochę nauczyli te mordy rozpoznawać. I jak, sypiemy czy nie? Ale okazało się, że mają przejeżdżać jacyś dygnitarze z Paktu [Układu] Warszawskiego. Tutaj spod Pruszkowa w Helenówku, oni mieli mini hotel zawsze w Pałacu Potockich. I jechali z dużą obstawą Alejami do KC. Jak myśmy zobaczyli takie grono wybrańców, tośmy sygnęli porządnie. Wiem, że od człowieka, który pracował w MSW, a był nasz i dzięki niemu ja tu się też zdołałem ewakuować i znajoma z Nowej też w Otrębusach się ewakuowała, bo wiedzieliśmy, że mają przyjechać w odwiedziny. On powiedział, że Kiszcak, to chyba było przez dwa miesiące, specjalną komisję powołał, żeby się zorientować, skąd wyszedł przeciek, że wiedzieli ludzie rzucający ulotki, trasę przejazdu, datę i godziny. I tak głupi ma szczęście. Tak się udało. Jeszcze w ramach tych takich scaleniowych rzeczy – i tych pierwszych akcji. – Jeszcze w Pruszkowie była akcja ulotkowa. To w Pruszkowie, właśnie chciałem do tego dojść, tych scaleniowych, szef oazowy mego najstarszego syna, a syn był też wciągnięty jeszcze, bo to było... Taka siatka na zasadzie pracy i tutaj kontaktów sąsiedzkich, bo normalnie, to moją pośredniczką do „Alka” czy do Bujaka to miała być Anka Lachocka. W razie awarii to moja żona, bo do Krzyska Zdzitowieckiego, a Krzysiek Zdzitowiecki do „Alka”. A jeszcze w czasie jeszcze jakiejś innej rzeczy, to mój najstarszy syn Przemek, przez tego Andrzeja Lotowskiego, który rzucał ulotki w Pruszkowie i do księdza Kantorskiego. Więc to mieliśmy takie zabezpieczenia. I przeszkoliłem kiedyś Andrzeja Lotowskiego, bo z wątku coś wydrukowałem, nie pamiętam tych ulotek. Mogę tylko powiedzieć, że jak matrycy mniej więcej 500 stron, to jak się cięło na cztery, to te dwa tysiące ulotek było mniej więcej z ryz. I przeszkoliłem Andrzeja, tak, żeby że tak powiem korpusu i twarzy nie wychylał. I najlepiej w dni wietrzne, i żeby rzucać nie tylko z ręki, żeby ustawiać na parapet, jak można było, a w pociągu, to na nitkę, paczuszka nieduża, bo to żeby się szybko zlatywało, jak pociąg na peron podejżdża. Tak gdzieś 100 do 150 ulotek pakieczek. Przewiązany nitką i szyba uchylona, i się szarpało za sznurek jakiś, i wtedy te nitki się rozlatywały, i był pod. Andrzej rzucił to koło ulicy Drzymały. Taki był wysoki blok. I tam był komitet chyba powiatowy partii, czy miejski. Wśród towarzyszy mających poczucie świadomości proletariackiej zawrzało, obstawili ulicę sukami, ale Andrzej sobie spokojnie wyszedł tam tyłem, zrobił łuk od Gąsina i od Komorowa zrobił łuk w kierunku stacji dużej kolei i pojechał potem w kierunku Milanówka, a miał ulotki. Mówi: „Wiesz, zupełnie jakbym był hermafrodytą, bo tutaj miałem ulotki, tu miałem ulotki”. Tylko wyjmował w pakieczkach. Potem chciała tak zwana władza pokazać swoją siłę i tutaj suki jeździły po szosie, do Milanówka, do Grodziska i były... Ja myślę, że jakieś są cholerne tutaj aresztowania a to po prostu dla fasonu sobie panowie. A Andrzej potem po iluś godzinach wrócił, mówi: „Wszystko w porządku, jak widzisz. Zdrowy jestem.” „To fajnie”. I to dość dużym echem się odbiło, bo tych ulotek sporo Andrzej wyrzucił. Jeszcze w 1982 roku mieliśmy akcje ulotkowe dzięki temu, że nauczyciel z gimnazjum mojego syna, z Zana [szkoła im. Tomasza Zana w Pruszkowie], był, można powiedzieć wychowankiem

księdza Idrzejczyka. To był późniejszy kapelan. Ale to był bardzo skromny człowiek i przyjazny ludziom. Przez nich się dawało ulotki. Chłopcy rzucali po prostu z kolejek, a jednocześnie ich grupa pruszkowska się wyspecjalizowała w rzucaniu na kotwiczkę takich szarf z napisem „Solidarność” na linię wysokiego napięcia. To stwarzało czerwonym kłopoty, bo trzeba było to wywalać. Prąd wyłączać. Ja nie pamiętam, z kim z MRKS-u. Ja akurat w tym nie brałem udziału, tylko obstawiałem. Było rzucenie, można powiedzieć flagi, bo to był duży skrawek materiału „Solidarność” na linię wysokiego napięcia, która biegnie za mostem gdańskim w kierunku Żerania, tej fabryki. I mieliśmy to szczęście, że tak kotwiczka zjechała bardzo z brzegu na Wisłę i o godzinie 7:00 rano gliniarze zadzwonili do dyspozytorni: „Zdjąć to z drutu” „Co?” „To, co tam wisi” „A co tam wisi?” „Jakaś flaga”. Napis „Solidarność”. I wiecie, że z milicji rzecznej i tam jakieś jeszcze z energetyki łobuzy nie wyłączali prądu i to zdjęli tuż przed południem. Więc było spore zbiegowisko ludzi i ta akcja się udała. Z takich akcji, których mi w 1982 roku utkwiły w pamięci, to to, co spowodowało, że stało się kropką na i w rozejściu się z regionem. Mianowicie wmurowanie tablicy na Podwalu, upamiętniającej ofiary stanu wojennego. I tutaj znowu mnie krew załała, bo Bujak, gdybym się z nim spotkał, bym powiedział mu w oczy, że jest chyba pożytecznym idiotą albo po prostu nietykającym człowiekiem, bo myśmy to robili, do archiwum nawet przekazałem karteczkę Bujaka, że upoważniam Alka do przeprowadzenia akcji na Podwalu. A jednocześnie Alek dostał polecenie, żeby to zrobić, że przy współdziałaniu z ludźmi od Miastkowskiego. Kurza mogiła, tego było za dużo. Ja Alkowi odradzałem spotkanie. On chyba ze spluwą tam poszedł. I „Kocioł”, i Jacek Cibor to samo, byli uzbrojeni. I się okazało, że wartościowy chłopak był Maciek Wiśniowski, który brał udział w montowaniu tej całej tablicy, ale kto wie, czy nie wtedy były początki na horyzoncie pojawienia się u nas Kotarskiego, tego agenta. I samo wmurowanie było bardzo fajne, bo udawali robotników, którzy piją piwo, taczka z zaprawą, tam któryś powiedział: „Jak będziecie się opierdalać, to was z roboty wyrzucę”. I to przechodziło. Przy czym tu nawaliły mi siostrzyczki u świętego Marcina. Bo powiedziałem, żeby w takich a takich godzinach owczarka alzackiego do budy przyczepiły. One zapomniały. I jak „Kocioł” poszedł z gadałą, żeby tam postawić, zresztą to była nieudana rzecz, dlatego, że było zacięcie. Choroba, te gadałki miały to do siebie, że przy raptownym postawieniu ta igła czasami szła... I Wojtek skoczył, i ten pies mu poszarpał dzinsy, a to wtedy było nie byle co, jeśli chodzi o ubiory. Szybko siostrzyczki go spacyfikowały, tego pieska, ale Wojtek był rozżalony. I to było tak, że najpierw ktoś miał złożyć kwiaty, a jeszcze wcześniej ja, siedząc u rodziców, od Alka dostawałem informację, sznurek poszedł. To znaczy, że tablica odsłonięta. Zadzwoniłem, nie wiem czy to nie był przypadkiem Józwa z tej swojej grupy, a może Suchy, nie wiem, żeby... To było hasło, że oni mają rzucić ulotki zawiadamiające społeczeństwo Warszawy, że tablica jest odsłonięta i jaka treść. I w tym momencie mieli podejść z kwiatami, i te osoby zaczęły się wahać, więc też Anka Lachowska i jeszcze ktoś z arabistyki, był taki student z uniwersytetu, złożyli kwiaty i tak się zaczęło. A potem będą śpiewy patriotyczne i była obstawa, i dlatego to tak kilka godzin trwało, bo na przykład Michał Rzewuski jeszcze z jakąś grupą, chyba z Targówka. Nie, nie z Targówka. Z Targówka grupa była pod katedrą wojska polskiego. Obstawiali od świętej Anny, a tak... – Piotr Rzewuski? – Tak, tak. Piotr na wypadek ataku policji. Andrzej Lotowski, ten od ulotek w Pruszkowie miał donczaki, obstawiał od Kilińskiego, a ja dałem chłopakom z Targówka kolce, żeby rzucili jakby ZOMO jechało czy gliny, przy katedrze Wojska Polskiego i na rogu przy Podwalu jeszcze była jakaś grupa, już nie pamiętam po tylu latach. Dlatego to... Zadyma trwała do późnych godzin i te pieśni patriotyczne były naprawdę czymś, co ludzi jakoś mobilizowało. Tak samo nie zapomnę tego, o czym śpiewał potem Janek Pietrzak, jak był na wręczaniu naszych odznak, to mu swoją odpiąłem, bo skomponował piosenkę na kanwie tego wydarzenia „Nielegalne kwiaty, zakazany krzyż”. Ludzie składali pod krzyżem papieskim kwiaty. I zapadła decyzja, żeby tablica, tak jak na Podwalu zresz-

tą, a właśnie, muszę podkreślić, że te tablice robił ktoś z zespołu Bieleckiego. Zresztą Czesław Bielecki był jedynym w tym czasie ludzi z tak zwanej góry regionalnej, który nam pomagał egzystować. Myśmy byli, że tak powiem bosy. A on dawał tak, czy gotowe nagrania, czy niedokończone nawet gadały, czy właśnie tablice. To była ogromna pomoc. Czasami papier dawał. I początkowo miał wjechać mały Fiat – z dziurą w podłodze, który miał... – Na plac... Piłsudskiego. I miał zostawić tę tablicę. Chłopcy mieli przenieść. Ale potem była lepsza koncepcja. Ja miałem dużo takich starych wysokogórskich nosideł, że można było tam wór bosmański powiesić czy coś. I na takim nosidełce tablica została wniesiona, dosłownie co do milimetra została dopasowana do tablicy, która na placu tam była przy tych kwiatkach. Wcześniej był obruszony ten kamień, przykryty kamieniami, tak że tylko dwoma szpikulcami go można było podnieść i któryś z chłopaków, z jakiejś takiej, małego naczynia z cementem szybkoschnącym, to wlał i tablica została włożona. Jak ludzie zobaczyli, rety, rety, coraz większe było zbiegowisko. A obserwacja tego była przez ubeków z budynku MON-u. Jak zobaczyli, że taka ciżba jest na placu, ludzie śpiewają, to kilku facetów tam przyszło zobaczyć, co się dzieje, a potem tak jak Janek wyśpiewał właśnie, że: „Były i pałki, był gaz, były psy”. A jeszcze z naszych rzeczy udanych, to był też rok 1982, ludzie kładli węgle przy zejściu od kościoła Świętej Anny tam w dół. Na znak symboliczny górników z kopalni Wujek. I w budynku na Miodowej, tam była kiedyś poczta, prawie na rogu. Ubecja aparat filmowy zamontowała. I po prostu kręciła, żeby że tak powiem, gęby potem ludzi wyławiać. Udało się tak zrobić, że zostało włączone nie to napięcie, co trzeba i to się wszystko pofajczyło. I przestali filmować. A jeszcze z 1982 roku trzeba wspomnieć o takiej historii, to jest właśnie nastawiła do Bujaka negatywnie. To to, na czym wpadł Piotrek Rzewuski i jego grupa. Otóż chcieliśmy powtórzyć manewr z 1 sierpnia. Piotrek ze swoimi ludźmi w dolince katyńskiej, jak myśmy nazywali, to cóż, rzut beretem, Gloria Victis. Miał ustawić krzyż, wmontować. To było na Wszystkich Świętych. I po prostu chłopcy mieli zjechać, a myśmy potem mieli przyjść z gadaniami. Alek miał przyjść z Anką, a ja z żoną przyjechałem też, żeśmy się śmiali, że chyba będzie w ciąży, dlatego, że wózkiem dzieciennym myśmy wjechali. Była gadała, kwiatami cała ogracona, były znicze i myśmy się zorientowali, że coś śmierdzi, taki smród z gazu, po prostu. Chłopcy od Piotrka przedobrzyli sprawę, dlatego, że bali się, że z krzyżem będzie tak jak w 1980 roku za czasów legalnej Solidarności, że przyjadą i na łańcuchach, i traktorem wyciągną. I to była walka na gaz, na pięści. Po prostu ubecja o tym wiedziała. Tak samo ubecja wiedziała o tej naszej tablicy na Podwalu. Ale to wyłapaliśmy informację, że szanowny prezes, jak myśmy go nazywali, Bujak, przekazał jakiemuś żurnaliście, podobno z Wolnej Europy, w co nie wierzę, kiedy tablica ma być wmontowana i gdzie. Ponieważ byliśmy tak wkurzeni, że zrobiliśmy to przed terminem chyba cztery czy trzy dni i to trochę uratowało. I to było już czarno na białym, że w tym regionie potwornie śmierdzi. A poza tym, co mnie zniechęciło? Jeszcze na wiosnę, jak ze Zbyszkim Lewandowskim z Podkowy, on był w Armenii razem z Wojtkiem Skowronem, myśmy z nimi współpracowali. Drukowali z wółką broszurę o Powstaniu Warszawskim. To jednocześnie, ponieważ na złodzieju czapka gore, a ja byłem człowiekiem od „Lotnego”, chciałem rozbudować sieć informacji. I... W takich skrzynkach, w kioskach, tak? Tak, w skrzynkach, w kioskach. Wykorzystać zaufanych listonoszy. Pod jego, że tak powiem, niemal dyktando, robiło się schemat, na co mają zwracać ludzie w fabryce. Jak co mają ewentualnie, mówiąc nieładnie kraść, żeby był sprzęt dla konspiracji, bo nie mieliśmy ani aparatów podsłuchowych, kilka sztuk znajomi Lopka z politechniki nam zrobili, wielkości pudełek od papierosów. To był taki zasięg, że jak byłem przy muzeum Wojska Polskiego, to odbierali właśnie przy Pankiewicza na normalne radia. To prymitywizm, ale człowiek się ratował i to chciał mieć, ba, nawet umożliwili nam wykrywanie podsłuchów telefonicznych, bo przecież były takie. I dostałem odpowiedź przez właśnie Zbyszka Lewandowskiego, że to ich nie interesuje, że to jest nierealne. I druga rzecz, która... – Że region. – Tak, tak. Że to jest... Tak. Mało tego, kiedy w lecie

tutaj do mnie Alek z Anką przylecieli: „Stary, w ciągu godziny musimy odebrać Swena”. To transport ze Szwecji. Mój samochód wtedy nie mógł być użyty, bo ja miałem wtedy już offset, z Podkowy mi chłopaki podrzucili, więc się bałem, że w razie nakrycia towaru, to maszyna leci. Citroen Karola Teligi z Nadarzyna, a taka ciekawostka, tam się i Macierewicz u niego też ukrywał. Ale to byli już z pierwszego KOR-u. Też był w remoncie, więc poszedłem tutaj do Andrzeja Grabickiego, mój dalszy sąsiad i mówię: „Panie Andrzeju, kawa na ławę. Wiedziałem, że pan jest w kościele, że przystępuje pan do komunii świętej. Nie jest pan gnidą komunistyczną. Muszę odebrać transport zza granicy. Niedaleko, 20 kilometrów maksymalnie. Pojedzie pan?”. Się zastanowił. „Jak trzeba, to trzeba”. Wsiedliśmy do jego łazika, on miał gazika takiego, którego przerobił, silnik z zetora, więc ten zupełnie jak taki Skot jechał, słysząc go było. Przed odjazdem się przeżegnał i mówi: „A teraz władza ludowa może mi naskoczyć, o”. I odebraliśmy ten cały transport. Alek nawet jechał na górze i się chłopak zatruł, bo to te spaliny wychodziły. A jak w Walendowie myśm podjeżdżali, to zganiał na ten taki głos silnika, jak z zetora, to chłopcy myśleli, że gliniarze jadą. Swen uciekł do siostrzyczek, a „Kocioł” z Jackiem i jeszcze dwoma krzyknęli: „My się bronimy, żeby opóźnić”. I tamten pierwszy transport się zabrało. On potem pojechał na parking do Nadarzyna, pod Nadarzynem. Przy czym początkowo prosiłem o pomoc księdza Kantorskiego, żeby pokazać kogoś w otoczeniu tutaj, ale się okazało, że tam pan major milicji mieszka w pobliżu, więc dlatego zdecydowaliśmy, że to trzeba przerzucić do Warszawy. I to był taki pierwszy odbiór transportu. W końcu chyba 1982 roku powstała w obrębie naszej już organizacji, grupy specjalnej, Grupy Oporu, sekcja transportu zewnętrznego, którą przejął dawny przemytnik notabene, Ramotowski. I to było odciążenie. Aczkolwiek od 1983 roku, przepraszam, że znowu wybiegam naprzód, za pośrednictwem mojej koleżanki z Instytutu, która była przeoryszą klasztoru klauzulowego w Łodzi odbierałem 3–4 razy w roku transporty z Francji. I to były bardzo fajne transporty, bo miały dużo uszczelek. Transporty zawierały farby. Fantastyczne. I ktoś te farby gdzieś przehandlowywał, i dzięki temu od złodzieja można było dokupować papier czy jakieś inne rzeczy. Ale właśnie było dużo uszczelek, co w czasie tej biedy za czasów Jaruzelskiego było ogromną rzeczą, bo nie było płaszców, nie było butów. Ba, leków nie było. A myśm to rozparcelowywali. I do 1989 roku te transporty francuskie przychodziły. I właśnie potem, co się stało 1 listopada z Piotrem Rzewuskim, po tym, że była bardzo ostra wymiana korespondencji moja z Bujakiem po tym, że chcieli wywołać strajk, ale ludzie byli przerażeni i znowu przyszedł mi z pomocą Andrzej Lotowski, który zlokalizował nie tylko podstuchy wokół śródmieścia, tego kolejowego warszawskiego węzła, ale jednocześnie wiedział, gdzie wyłączyć trakcję. I chcieliśmy zrobić strajk wymuszony. Od naszej strony WKD, tam od strony Pruszkowa, Gołębek, Tłuszcza, Zielonek, Wawra, dookoła. Ludzie do roboty nie przyszl. „Nie mogli, panie, dojechać”. O. I nie wiem dlaczego, czy byli zastraszeni, bo co tu dużo gadać, miałem zupełnie niezłe informacje, skoro gdzieś tydzień po naradzie na Krymie chyba, Breżniew powiedział... Jego stosunek do Solidarności był taki: „Prikatit i rozgromić”. Dosłownie. Ja to przekazałem szybko w górę i się okazało, że właśnie po tych siedmiu czy tam iluś dniach, jak rządciele się rozjechali, zdelegalizowali Solidarność. I góra się zamknęła zupełnie. Nie było z nimi kontaktów i ta cała akcja wymuszonego strajku to już się rozpełzła. No i... To już była późna jesień... Bo jeszcze takich akcji, które były w planach, a też nie doszło, to tutaj mam zanotowane na podstawie znęcania się nad więźniami w Bydgoszczy. Jak to jest ze starym człowiekiem, który ma sklerozę. I ten stary człowiek nie powiedział jeszcze o jednej rzeczy, przez którą mieliśmy mieli krechę, a to z panem Kulerskim w regionie. Szkolenie przez kedywowców, podłożyliśmy materiały wybuchowe tutaj pod Nowym Gołędzinowem. Tutaj przy Warszawie Zachodniej, przy dworcu. A to miał być szpital wojewódzki, kapitalne miejsce, dojazd kolejką, węzeł drogowy, a dali tych gliniarzy. A myśm podłożyli w dwóch miejscach tylko, pod tak zwane media. Prąd, gaz, a to by ładnie szło w górę, jakby gaz się włączył

jeszcze, woda. Jak się Kulerski dowiedział, to groziło tym, że podpowie ubekom, że tu są terroryści i że region z nimi nie ma nic wspólnego. Ja ze łzami w oczach te ładunki potem rozbierałem. Zresztą przydały się potem do wyrzutników, ale... – Czyli kto był przeciwny temu? – Kulerski. On był wielkim pacyfistą. Ale Kulerski właściwie z Bujakiem na jednym tonie grali. I to nas bardzo zniechęciło do regionu. A jeszcze mieliśmy odbijać ze szpitala Banacha Jarka Narożniaka. Wszystko było przygotowane. I nawet była, że tak powiem, swoja taksówka i „Alek” przyszedł wkurzony, i mówi: „Stary, zabrali nam akcję”. I ktoś inny to robił. Chyba MRKS. I do tej pory mnie tak świerzbi, żeby ktoś z archiwistów się dobrał, jak to tam było, dlatego że dobrali ludzi niby od Miastkowskiego. Nikt z lekarzy nie poszedł w odstawkę. To się wszystko tak rozplynęło. I jeszcze właśnie taka akcja nasza, można powiedzieć nieudana, w Bydgoszczy. Nasi ludzie powiedzieli, że tam strażnicy więzienni znęcają się nad więźniami. Dostaliśmy od naszych ludzi z Bydgoszczy adresy tych oprawców i nawet już były bilety kupione, żeby tam pojechać. Chodziło o to, żeby ogolić żony tych oprawców, żeby im powiedzieć, że jak stary będzie się znęcał nad chłopakami, to cię taka, nie taka będziemy co miesiąc golili, a jednocześnie od Wujaszka, czyli od Józefa Teligi dostałem taki mały przyrząd, miniaturkę jak do znakowania koni wojskowych czy bydła. To była czerwona gwiazdka i tam jakiś jeszcze odpowiedni napis „Czerwona hołota” czy coś takiego. Okazało się, że znowu ktoś z regionu zaalarmowany powiedział, że tego nie wolno. Ponieważ żal było zdobywania tych wszystkich adresów i wystawienia na dudka przyjaciół z Bydgoszczy, to jedna pani podporucznik czy porucznik została dla wprawy ogolona i powiedziano, o co chodzi. Z tym, że bez tatuażu na czołe. Ponieważ to się rozeszło, bo ona chciała popełnić samobójstwo, bo to golenie było w obecności dwójki dzieci i ponoć chciała popełnić samobójstwo, to była wielka awantura w regionie i zabronili takich rzeczy. Ale uważaliśmy, że niestety w pewnych sytuacjach trzeba złem za zło płacić. I większość naszych akcji, nazwijmy to akcjami odwetowymi. To były to tak: w dziób, czyli w gębę, skunks do mieszkania albo do samochodu, to merkaptany, czyli kwintesencja, za przeproszeniem batalionu ludzkiego gówna. Więc to jak się spryskało nawet przez dziurkę od klucza strzykawką jedną, to klepki wymieniali i potem tynk zbijali. Takie rzeczy były. Jeszcze była taka akcja, to razem myśmy to robili, z ludźmi łysego, czyli Bieleckiego, adresy tych krzykaczy, potwierdzone, że to są gnidy komunistyczne. Na skutek tego, że nasza komórka legalizacyjna podrobiła wezwania z komendy stołecznej MO. Ci ludzie dostawali papierki, że wezwanie w celu złożenia zeznań. I oni kombinowali, czy to, że ja te opony podchrzaniłem, czy tam coś. Przez dwa miesiące była specjalna komisja, która badała tę sprawę, a oni się, chłopcy, nawzajem sypali. To była jedna z takich odwetowych rzeczy. Niestety jak „Alek” przestał być szefem i zaczął być nim Teoś Klincewicz, a to była dziwna historia. Dlatego, że na początku lata „Alek” mówi: „Słuchaj, jeden z naszych chłopaków, młody, ukrywa się od 13 grudnia. Trzeba mu jakiś wypoczynek zapewnić”. Ponieważ kolega, który był w mojej pracowni, Janusz Sawoniewicz, był po wydziale leśnym SGGW i miał być pracownikiem tworzonego Biebrzańskiego Parku Narodowego, w związku z tym na początek tam dali mu jakąś funkcję leśniczego. I Janusza uprzedziłem, Teoś tam pojechał, pobyl chyba ze dwa miesiące u niego. Nawet opowiadał, że była rzecz satyryczna, bo to było dobre miejsce dla tych, którzy łowili ryby i czasami przyjeżdżali ludzie wysoko postawieni. I raz jak przyjechali tacy ludzie z Białego-stoku, chyba z KW i Teoś łowiąc z nimi ryby, to rozmawiał na temat, jak tę cholerną Solidarność upieprzyć. I potem we wrześniu tutaj go przywiózł „Alek”, i tak się właśnie zaczęło. Ale pomimo to, że Teoś całe właśnie młode życie poświęcił walce z komuną, to jednak doszło do tego, że był najdelikatniej mówiąc, albo nonszalancki i brał przykład z takich właśnie jak Blumsztajn, co to chodził z tą paczką przez pół dnia i go nie obchodziło, co może spowodować ta jego nonszalancja, i wynikały z tego kłopoty. Ja na przykład nie chciałem go obciążać własną historią, ale w momencie jak go zgarnęli w marcu, chyba na Kruczej, – to przez przypadek... – W marcu... 1983 roku. I kładłem mu

w ten pusty łeb KOR-owski: „Stary, jesteś za wysoko. Nie wolno ci chodzić z notesem”. Miał notes. I rozszyfrowali wszystko. I ja wtedy byłem objęty inwigilacją od tego momentu aż do końca chyba października, 1989 roku. Ale późniejsze to chyba już sprawa Tadeusza, bo oni byli bardzo czujni na kontakty z Zachodem. A co tu dużo rozmawiać. Myśmy byli chyba jedną z nielicznych organizacji konspiracyjnych, która miała stały kontakt z naszym rządem londyńskim. Mieliśmy dobrze zorganizowane przerzuty prasy i różnych rzeczy. Początkowo to były kanały wyłącznie akowskie, ale potem były szef Solidarności LOT-u, Julek Grudziński, który był wyrzucony, pomógł mi zorganizować żurawia, czyli tylko zaufanych lotników, którzy przewozili na zachód różne znaczące rzeczy, a potem Witek Zieliński, który poszedł do Pan American i to wtedy, kiedy miał ze sobą egzamin drugiej kategorii z medycyny. I on nam bardzo dużo rzeczy załatwiał. Między innymi u tego pana na zdjęciu po lewej stronie, to jest Wim Aufhausen, Holender. Tam mieliśmy u niego skrzynkę w Amsterdamie i on nam załatwił druk na zachodzie ponad dwóch tysięcy pisma świętego. I w języku ukraińskim, litewskim i rosyjskim. Tak że te kontakty były bardzo żywe i że owocne, to świadczy fakt, że tydzień czy dziesięć dni po akcji nad Hortexem, tam był taki transparent, banner duży, przepraszam, „Ręce precz od Afganistanu”. Nie mogli go szybko zdjąć, bo się gliniarze bali, bo zapalają się różne lampki, jak oni tam wchodzili, były puszki, bali się, że to coś wybuchnie i dopiero brygada antyterrorystyczna to zdjęła. To po tym terminie w naszym dzienniku w Chicago ukazał się artykuł, przedruk, bo pierwszy druk był w tygodniku „Mazowsze”, z dodatkiem naszych aktualnych jeszcze ulotek. Mało tego, tam nasz człowiek, Romek Rybicki, jego córka Monika pracowała w IPN-ie i... Już nie żyje. Organizował w Chicago polskie radio, które na podstawie naszej prasy i bibuły dawało polonusom aktualne informacje. Romek zresztą sprzedawał tam nasze wydawnictwa, które zasilaty naszą skromną kasę. Zresztą muszę się przyznać, że część trafiała do Kotarskiego, a część przez żonę Romka, tutaj w Otrębusach mieszkają, do mnie i dlatego mogliśmy łątać nasze dziury budżetowe. O tej drugiej turze Kotarski nie wiedział. Podobnie jak i o części naszych wydawnictw. Tak że nasza działalność była solą w oku wielu ludzi z drugiej strony barykady. I chyba nieszczęściem dla nas było to, że z jednej strony ja byłem za bardzo wychowany w poczuciu karności do przywódców. Ksiądz prymas Wyszyński mówił, że możemy się różnić, ale dopóki wróg nie leży na łopatkach, to musimy być monolitem. I nie chciałem, żeby poszedł w świat rozdźwięk między nami a regionem. I dlatego nie związaliśmy się z Solidarnością Walczącą, z którą mieliśmy jakiś kontakt przez pułkownika Teligę.